



Pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulłkowskiej.

DOBRY SYN.

(PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO).



Chodził do szkoły ludowej, do czwartej klasy. Był to ładny, miły chłopak, lat dwunastu, o czarnych włosach i białej twarzy, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznej,

który, mając liczną rodzinę, a bardzo lichą płacę, żył niemal w niedostatku. Ojciec jego kochał go i był dobry i pobłażliwy dla niego. Pobłażliwy we wszystkim, oprócz tego tylko, co dotyczyło szkoły: w tym razie był wymagający i surowy, bo pragnął, aby syn czempredzej już znalazł się w możności dostania jakiejś posady i pomagania rodzinie. Ażeby dojść do tego w jak najkrótszym czasie, trzeba było pracować wiele. Chłopiec uczył się pilnie, lecz ojciec pomimo to jeszcze go do nauki zachęcał. Ojciec był już niemłody, a nadto i praca nadmierna sprawiła, że się zestarzał przedwcześnie. Niemniej wszakże, aby rodzinie środków utrzymania przysporzyć, oprócz pełnienia obowiązkowej służby na kolei, brał jeszcze tu i owdzie, gdy się zdarzyło, papery do przepisywania do domu, i znaczną

część nocy na tej pracy przy stoliku przepędzał. Ostatniemi czasy dostał był w pewnej redakcji, która wydawała gazetę i książki zeszytami, robotę stałą, polegającą na tem, by na gotowych opaskach wypisywać imiona i adresy prenumeratorów. Za każde pięćset takich papierowych pasków, opatrzonych czytelnym i foremnym napisem, pobierał trzy korony zapłaty. Ale ta praca nużyła go bardzo i często się na to przed swą rodziną uskarżał przy obiedzie.

— Oczy moje się psują — mawiał — ta nocna praca mnie zabija.

Syn powiedział doń pewnego razu:

— Ojczy, pozwól mi pracować za siebie. Wiesz, że i ja mniej więcej tak samo napisać potrafię.

Ale ojciec odrzekł:

— Nie, nie, synku, ty musisz się uczyć; twoja szkoła jest rzeczą o wiele ważniejszą, niż te opaski. Miałbym wyrzut sumienia, gdybym ci choć godzinę od nauki ujął. Dziękuję, ale nie chcę i nie mów mi o tem więcej.

Syn wiedział, iż w takich rzeczach, skoro ojciec raz powiedział: nie, to już żadne nalegania nie pomogą — i umilkł. Lecz nie dał za wygraną i oto jak sobie poradził.

Wiedział, że równo o północy ojciec pisać przestaje i ze swej pracowni udaje się do sypialnego pokoju. Nieraz sam słyszał, jednocześnie z wydzwonieniem północy na zegarze, posunięcie krzesła i powolny chód ojca. Pewnej nocy, zaczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał, ubrał się cichutko, poszedł po omacku do pracowni, zapalił na nowo lampę naftową, usiadł przy biurku, na którym leżał cały stos białych pasków oraz spisów adresowych, i zaczął pisać, naśladując, o ile możliwości, pismo ojca. I pisał ochoczo, zadowolony, chociaż z pewnym strachem, a zapisanych opasek stos się powiększał. Od czasu do czasu kładł pióro, aby potrząść ręce, i znowu brał się do roboty z większym jeszcze zapałem, ucha nadstawiał, uśmiechał się. Sto siedmdziesiąt pasków zapisał: jedna korona. Wówczas zatrzymał się, pióro odłożył na to samo miejsce, z kądem je był wziął, zagasił lampę i na palcach powrócił do łóżka.

Tego dnia w południe ojciec w dobrym humorze zasiadł do stołu. Nic nie spostrzegł, niczego się nie domyślał. Pracę tę swoją wykonywał machinalnie, mierząc ją na godziny i myśląc o czem innem, i nie liczył zapisanych opasek, aż dnia następnego.

Usiadł więc do stołu wesóły i — klepiąc ręką po ramieniu syna — powiedział: — Ej, Jaśku! Jeszcze z twego ojca lepszy robotnik, niż myślałeś. W ciągu dwóch godzin wczorajszego wieczora zrobiłem o dobrą trzecią część więcej, niż zwykle. Ręka jeszcze żwawa i oczy pełnią jeszcze swą powinność.

A Jaś, ucieszony, milczał, tylko sobie mówił w duchu: »Biedny ojczulek! Oprócz zarobku, robię mu jeszcze i tę przyjemność, iż mu się zdaje, że odmłodził. A więc odwagi!«

Ośmielony tak dobrym początkiem, następnej nocy, kiedy północ wybiła, znowu wstał i zabrał się do pracy. I tak czynił przez kilka nocy. A ojciec niczego się nie domyślał. Pewnego razu jedynie powiedział zdziwiony:

— Nie rozumiem, doprawdy. Tyle nafoty wychodzi w tym domu od niejakiogo czasu!

Jaś drgnął, ale ta uwaga ojca przeszła, bez następstw. Praca po nocy trwała dalej. Jednakże przez takie ujmowanie sobie paru godzin snu co nocy, Jaś niedostatecznie wypoczywał, z rana wstawał znużony, a wieczorem, przygotowując lekcje do szkoły, wszelkich sił dobywał, aby nie zdrzeć, tak mu się sklejały powieki. Pewnego wieczora po raz pierwszy w życiu usnął nad książką.

— Odwagi! odwagi! — zawołał nań ojciec, klaszcząc w dłonie. — Dalej, żwawo do roboty!

On się ocknął i zabrał się na nowo do nauki. Ale następnego wieczora, a również i dni następnych powtórzyło się to samo, i nawet było coraz gorzej; biedak drzemał nad książką, wstawał później, niż zwykle, lekcji się uczył z wysiłkiem, zdawał się być zniechęcony do nauki. Ojciec zaczął mu się uważnie przyglądać, potem zamyślać się, nareszcie robić mu wymówki. Dotąd nigdy mu ich robić nie potrzebował.

— Jasiu — powiedział mu pewnego rana — coś mi się nie spieszysz... W tem coś jest, tyś nie ten, cc dawniej. To mi się nie podoba. Pamiętaj, cała nadzieja rodziny w tobie. Jestem z ciebie niezadowolony, rozumiesz?

Na tę wymówkę, pierwszą naprawdę surową wymówkę, jaką odbierał, chłopak się zmieszał i zatrwożył.

»Tak — pomyślał sobie — to prawda; tak trwać dalej nie może; trzeba wszystkiego zaniechać.«

Ale tego samego dnia podczas obiadu, ojciec jego powiedział wesoło:

— Wiecie, iż w tym miesiącu zarobiłem o trzydzieści dwie korony więcej, niż w zeszłym za te opaski.

I mówiąc to, wyciągnął z kieszeni papierową torebkę z cukierkami, które kupił, aby sprawić ucztę swej dziatwie z powodu tak nadspodziewanego zarobku, a które wszyscy powitali, klaszcząc w ręce z radości. Wówczas i Jaś nabrał otuchy i powiedział sobie w duchu:

»Nie, drogi, biedny ojcunku, nie przestanę cię zwodzić; wszystkich sił dobędę, aby się w ciągu dnia uczyć porządnie, lecz w nocy będę pracował, jak dotąd: i dla ciebie i dla innych«.

A ojciec rzekł:

— O trzydzieści dwie korony więcej! Jestem bardzo zadowolony... Tylko oto ten tam — i wskazał na Jasia — ten mnie martwi.

Jaś zniósł wymówkę w milczeniu, politykując łzy, które go za gardło ścisnęły, ale jednocześnie uczuł w sercu wielką jakąś błogość. I dalej ze wszystkich sił pracował. Ale, dodając niewywcześnie do niewywcześnie, znużenie do znużenia, coraz bardziej siły nadwątlał i coraz mu trudniej było walczyć z samym sobą. Taki stan rzeczy trwał już od dwóch miesięcy. Ojciec robił synowi częste wymówki i spoglądał nań z coraz większym niezadowolaniem.

Pewnego dnia poszedł do nauczyciela, aby od niego wiadomości zasięgnąć, a nauczyciel powiedział mu:

— Na ogół nieźle jest, nieźle, bo ma zdolności. Ale nie widzę już w nim tej ochoty do nauk, co dawniej. Ćwiczenia piśmienne robi jaknajkrótsze, znać w nich pośpiech, i pisze brzydko. Mógłby daleko więcej robić, daleko więcej!

Tego wieczora ojciec wziął chłopca na stronę i zaczął mu czynić wyrzuty tak gorzkie, jakich jeszcze nigdy nie słyszał.

— Jasiu — rzekł, — widzisz, że ja pracuję ciężko, że zdrowie, życie dla rodziny poświęcam. A ty nie masz serca dla mnie, ani dla braci, ani dla twojej matki!

— Ach! nie, ojcze, nie mów tego! — zawołał Jaś, wybuchając płaczem, i już usta otworzył, aby wszystko wyznać.

Lecz ojciec przerwał mu, mówiąc:

— Znasz nasze położenie; wiesz, że każdy z nas ofiary ponosić musi, że każdy powinien mieć dobre chęci. Ja sam, widzisz, powinienem być dwa razy tyle pra-

cować. Sądziłem, że w tym miesiącu dostanę od zarządu kolei z jakie sto koron nagrody, a tymczasem dziś rano dowiedziałem się, iż nic nie dadzą!

Na tę wiadomość owo wyznanie, które Jaś miał uczynić, zamarło mu na ustach; w jednej chwili zmienił postanowienie i rzekł sobie w duchu:

»A więc odwagi!... Nie, ojcze, ja ci nic nie powiem, nie wyjawię tajemnicy, a ty mózdz pracować dla ciebie. Za tę boleść, którą ci sprawiam, wynagradzam cię w inny sposób. Dla szkoły zawsze dość się nauczę, by przejść do wyższej klasy. Pomagać ci w pracy na życie, ulżyć ci trudu, który zabija — to rzecz najpierwsza!«

I pracował dalej. I znowu upłynęły dwa dalsze miesiące trudu w nocy, znużenia we dnie, wysiłków rozpaczliwych ze strony syna i gorzkich wyrzutów od ojca. Ale najsmutniejszym było to, iż ojciec coraz bardziej obojętniał dla chłopca, rzadko doń przemawiał, jak gdyby to był syn niedobry, zepsuty, po którym niczego się już dobrego spodziewać nie było można; nawet oczy niemal od niego odwracał, aby się z jego wzrokiem nie spotkać. Jaś to widział i cierpiał niewypowiedzianie, a kiedy jego ojciec odwracał się w inną stronę, on ukradkiem wyciągając usta, posyłał mu całusa, z wyrazem smutku, miłości i żalu; i z tej żałości i z tej pracy nad siły, chudł i bladł coraz bardziej i coraz bardziej musiał zaniedbywać nauki. Rozumiał zresztą dobrze, iż raz przecie trzeba już będzie z tem skończyć, i co wieczór mówił sobie:

»Tej nocy już nie wstanę, nie pójdę!«

Ale gdy północ wybiła, w chwili, w której byłby powinien właśnie umocnić się w swem postanowieniu, doznawał jakby wyrzutu sumienia. Zdawało mu się niemal, iż pozostając w łóżku, uchyla się od spełnienia obowiązku, że ojca i rodzinę na jedną koronę okrada. I wstawał, myśląc, że prędzej, czy później ojciec jego w nocy się obudzi i zejdzie go niespodzianie, lub też że prawdę wykryje przypadkiem, przeliczywszy kiedyś po pracy opaski, i że wówczas wszystko się skończy samo przez się, bez pomocy jego wyznania, którego nie miał siły uczynić. I pracował, jak dawniej. Ale pewnego wieczora, przy obiedzie, ojciec wyrzekł słowo, które miało się stać rozstrzygającym dla chłopca. Matka, popatrzawszy na niego i widząc, że, jak się jej zdało, jest bardziej blady i zmieniony, niż zwykle, powiedziała:

— Jasiu, tyś chory! — A potem, zwracając się do ojca, dodała z niepokojem: — Jaś chory. Patrz, jaki błady! Moje ty dziecko, co tobie?

Ojciec ledwie nań spojrział i, zwracając oczy w inną stronę, rzekł:

— Nieczyste sumienie psuje i zdrowie. Nie tak on wyglądał, kiedy był pilnym uczniem i dobrym synem.

— Ależ on chory naprawdę! — zawołała matka.

— Nic to mnie już nie obchodzi! — odpowiedział ojciec.

Na te słowa jakby kto nożem pełną w serce biednego chłopczyny. Ach! to już ojca nic nie obchodziło! Tego ojca, co drżał niegdyś cały, gdy synek zakaszłał. Więc już go nie kocha, więc to już pewno, że dla serca ojcowskiego tak jakby nie istniał?..

„O, mój ojcze — powiedział sobie w duchu, z sercem ściśnionem boleścią, — teraz naprawdę już dosyć... Już zaniecham wszystkiego. Ja bez twojej miłości żyć nie mogę, muszę ją całą odzyskać, powiem ci wszystko, nie będę cię więcej oszukiwał, będę się uczył, jak dawniej. Niech się dzieje co chce, byleś mnie znowu kochał, biedny mój ojcze! O, tym razem jestem pewny, że postanowienia nie zmienię!“

Niemniej wszakże jeszcze i tej nocy zbudził się i wstał, więcej z nawyknięcia, które staje się jakby drugą naturą, niż dla czego innego. A kiedy wstał, wówczas zapragnął pójść choć na chwil kilka, wśród ciszy nocnej, po raz ostatni do tego pokoiku, gdzie przez czas tak długi pracował pokryjomu, z sercem, pełnem czułości i zadowolenia. I gdy się znalazł znów przed tym stolikiem, z lampą zapaloną i gdy spojrział na te białe paski, na których już nie miał nigdy wypisywać owych nazwisk miast i osób, które teraz wszystkie umiał na pamięć, dziwny go smutek ogarnął i, nie namyślając się dłużej, ruchem szybkim, stanowczym, pochwycił za pióro, aby znowu zwykłą pracę rozpocząć. Ale, wyciągając rękę, potracił o jakąś książkę, a ta spadła na ziemię. Krew rzuciła mu się do głowy. Gdyby się ojciec obudził! Wprawdzie nie zeszedłby go na złym uczynku — przecież on sam postanowił już wszystko mu wyznać, — a jednak gdyby usłyszał zbliżające się te kroki w ciemności... gdyby się jego matka obudziła i złąka... gdyby ojciec odkrył wszystko i (to mu po raz pierwszy na

myśl przyszło) miał doznać upokorzenia wobec niego, wobec syna!...

Wszystko to go przeraziło. Stał chwilę, jak wryty. Słuch wyteżył, dech zatrzymał... Żaden go szmer nie doleciał. Przyłożył ucho do zamka u drzwi, które się znajdowały tuż za nim: cisza. Cały dom spał. Ojciec się nie obudził. Uspokoił się i zaczął pisać. Stos opasek coraz się zwiększał. Doszedł doń z pustej ulicy turkot powozu, który ustał nagle; potem, po pewnej chwili, stuk szeregu wozów, które przeciągały zwolna, potem cisza głęboka, przerywana jedynie od czasu do czasu szczekaniem całkiem czujnego psa. Więc pisał i pisał.

A tymczasem jego ojciec stał za nim. Obudził się, gdy spadła książka, wstał i czekał na stosowną chwilę. Turkot wozów zagłuszył szmer jego kroków i słabe skrzypnięcie drzwi otwieranych. Stał za nim — siwą swą głowę pochylił nad czarnowłosą główką syna i widział, jak pióro biegło po papierze — i w jednej chwili wszystko odgadł, wszystko przypomniał, wszystko zrozumiał, a żal, boleść i rozczulenie niezmiernie wstrząsnęły mu duszą i trzymały go tam nieruchomie, jak przykutego za krzełem jego dziecka. Nagle Jaś krzyknął przeraźliwie — dwoje rąk ścisnęło mu głowę!...

— Ach, ojcze! ojcze! przebac! przebac! — zawołał, poznając ojca po płaczu.

— Ty mi przebac — odrzekł ojciec, łkając jak dziecko i pokrywając mu czoło pocałunkami, rozumiałem wszystko, wiem wszystko... To ty, ty mi przebac, drogie, święte dziecko moje! Chodź, chodź ze mną!

I poprowadził go, a raczej go zaniósł do łóżka jego matki, która już nie spała, popchnął go w jej ramiona i powiedział:

— Uściskaj tego syna, tego anioła, który od czterech miesięcy nie śpi i pracuje za mnie, a ja mu serce zakrwawiam, jemu, który na chleb dla nas zarabia, a on milczy cierpliwie!

Matka przycisnęła go do piersi, nie mogąc czas jakiś słowa wymówić, potem rzekła:

— Idź spać natychmiast, dziecko ty drogie, idź spać, wypocznij! Zanieś go do łóżka!

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do jego pokoju, położył do łóżka wśród pieśszcót i rozczulenia, poprawił mu poduszki i kołderkę.

— Dziękuję, ojcze, dziękuję — powtórzył Jaś — dziękuję; ale niech ojczulek już

idzie spać; ja taki szczęśliwy, — niech ojciec idzie do łóżka!

Ale ojciec nie chciał odejść, nim syn nie zaśnie; usiadł przy łóżku, wziął go za rękę i powiedział:

— Śpij, śpij, synku mój drogi!

I Jaś, znużony, zasnął nakoniec i spał wiele, wiele godzin, używając po raz pier-

wszy od czterech miesięcy snu spokojnego, w którym mu się śniło o miłych, wesołych rzeczach. A otworzywszy wreszcie oczy, gdy już oddawna słonko świeciło, naprzód uczuł, potem zobaczył obok swej piersi na brzegu łóżeczka opartą siwą głowę ojca, który w ten sposób noc spędził i spał jeszcze z czołem przy jego sercu.

Edmund Amicis.

Z KSIĘGI MĘCZEŃSTWA LUDU.



brzek, który tu widzimy, przysłał do »Zorza« dla Was, drodzy Przyjaciele, artysta-malarz, Walery Eljasz Radzikowski. Znacie nazwisko tego zacnego miłośnika ludu z licznych obrazków, które zdobią książeczkę ludowe i kalendarze. Znacie i z tego, co pisała »Zorza« w pierwszym numerze z kwietnia 1900 roku. A przypomina się ono Wam często, bo i tytułowy obrazek gazetki i te śliczne dziewczuchy, ślączka z gazetką w rękę i mazurka ze snopem i sierpem, które powtarzają się w każdym prawie numerze, skreślił również ołówek Walerego Eljasza.

A cóż przedstawia ten ostatni obrazek? — Treść jego artysta-malarz zaczerpnął, jak to czyni najczęściej, z życia ludu, tą razą męczeńskiego ludu unickiego.

Jak wiadomo, mieszkańcy Rusi czerwonej i Rusi litewskiej, nawet i po przyłączeniu tych krajów do Polski, wyznawali religję wschodniego obrządku. Dopiero w końcu XVI. stulecia, a mianowicie w 1595 r. w mieście litewskim Brześciu przysłała do skutku unja z Rzymem. mocą której część Rusinów uznała zwierzchność Papieża. Ci ostatni nazywają się odtąd Unitami, albo greko-katolikami. Jest ich w Królestwie Polskiem, podług obliczeń z przed lat dwudziestu, 217 tysięcy w 270 parafjach. Owoż, gdy Rosja przywłaszczyła sobie ziemię, zamieszkałą przez Unitów, rząd moskiewski jął przemocą i gwałtem nawracać ludność wiejską na prawosławie. Niepodobna w krótkich słowach opowiedzieć, ile okrucieństw popełniali siepacze carscy przy owem nawracaniu unitów, ale trudniej byłoby jeszcze dać pojęcie z jaką stałością i niezłomnem męstwem włościanie bronili wiary ojców. Ani kule, ani smaganie ciernistemi różgami, ani swawola żołdactwa, któremu pozwalano

bezkarnie pustoszyć wioski i znęcać się nad niewiastami i dziećmi, nie mogły przełamać chłopskiego oporu, nie mogły zmusić do podpisania się na prawosławie. Największą sławę w dziejach tego męczeństwa zdobyli mieszkańcy wiosek: Polubice, Pratulini i Drelów na Podlasiu. Na pamiątkę pomordowanych tam unitów w r. 1874 odbito wspaniały medal brązowy, na którym widnieją wyryte nazwiska pomordowanych za wierność dla Polski i wiary ojców. Męczeństwo włościan w Pratulini przekazał także potomności w pięknym obrazie i Walery Eljasz.

Wielkość ducha, której dowody wymowne złożyli i składają Unicy, prześladowani przez carat, posłużyły także licznym autorom za wątek do powieści, a poetom do utworów poetycznych. Z tych ostatnich, wspomnę tu o znanym Wam dobrze Lenartowiczu. W dłuższej opowieści wierszem opowiada, jako pop moskiewski i urzędnik carski w mundurze, wjeżdżają do wsi Pratulina i każą spędzić naród do kupy i temu wódkę leją, temu srebrne pieniądze kładą, a potem wołają: »No, chłopcy, pijcie wódkę za dobrego cara! No, chłopcy, czy chcecie przejść na prawosławną wiarę?« A naród milczy, jeno czapki gniecie i stoi, jak mur, tylko stary Jędrzej wysunął się naprzód i mówi: »My przy dawnej wierze zostaniemy, boby nas ojce nie poznali na drugim świecie, że my od swojej odstali«. — »Ha! — wrzaśnie urzędnik — wy psy! ha, Polaki! to wy nie chcecie? Różgi!«

A wóz z ciernistemi różgami stał pod bramą i zaraz kozacy, jak djabły poskoczą... Chwycili Jędrzeja, trzęsą starowiną, rzucili go o ziemię, biją a biją... A ten, przytłamszy ducha, leży; »krwi małe strużki tu i owdzie płyną, zaciął zęby, lecz kiedy do kości do-

bili, aż ci dziadek, jak chora dziecinka, zakwili« i prosi, aby zaczekali. Carski urzędnik cieszy się, bo myśli, że już starego nawrócił na swoją wiarę, a ów tymczasem woła do swoich: »Fedku! Jurku! czy mnie to samego puścicie? Idźcie za mną!« Zgrzytnął zębami urzędnik, że w chłopie taka wielka, bohaterska dusza i kazał dalej ściec. I zabili starego na śmierć i rozglądają się, kogoby dalej katować. Aż tu niewiasta, matka Mokryna, najpierwsza wybiega i woła: — »Sieczcie, wielmożne pany!« Poszły różgi i na nią tak okrutnie, że aż skóra pękła i krew do góry trysnęła i obryzgała w milczącej zgrozie stojących dokoła ludzi...

pacze, nie potrafiła przeboleć jego straty i rozum postradała i po wsi włóczyła się nieprzytomna, szukając z płaczem dziecka w każdym popiele, w każdym pogorzeliisku, ot, zwyczajnie szalona kobieta, a jednak ludzie czapki przed nią zdejmowali, »jak przed bożą męką!«

O, dzieje Unitów, to żałobna i dotąd niezamknięta księga, a jedną z jej kart bolesnych przedstawia właśnie nasz obrazek. Widzimy tu, jak wysłańcy rządu porywają z łona rodziny opornego Unitę, aby go zesać kędyś daleko na północ, w lody i śniegi. Żołnierz z bagnetem wleczce skrepowanego biedaka za ramię, dziki kozak smaga go



Porwanie opornego unity.

Przyszła kolej później na innych — siekli bez miłosierdzia. A potem huknęły strzały i wiele trupów padło... i krwi ludzkiej rozlało się jezioro... Lecz lud nie bał się męki. Nie bały się jej i kobiety: jednej z gospodyń podpalił chatę, aby przełamać jej opór. Ona stoi spokojnie z dzieckiem na ręku i mówi: »Niech palą, przecież Pan Bóg przygarnie sieroty«. A gdy pop chciał wyrwać jej z objęć niewinną dziecinę, aby ją przechrzcić na carską wiarę, szarpnęła się niewiasta i prosto w płonienie leci, jak oszalała — i w ogień dziecko ciska, aby je ocalić od carskich zbójów... Ten synek małej był jej całym szczęściem i skarbem jedynym, bo męża wprawdzie już zabrali sie-

nahajem, a stojący za nimi pop grozi z wściekłością pozostałym, że i ich czeka ten sam los, jeżeli nie przyjmą prawosławia, nie uznają cara za najwyższego na ziemi. We drzwiach chaty widnieje postać kobiety, zapewne żony skazańca, z wyciągniętymi rękami rozpaczy rękami. Inna znowu niewiasta padła na kolana, szukając w modlitwie pociechy. Do nieba wnosi też żałowane dłonie starszy mężczyzna, siedzący na ławie pod chatą.

Żałośny, łzawy obrazek, ale bo też żałośnym i łzawym jest życie Unitów pod batem carskim i ołówkiem nie wyrazić, słowem nie wystowić, jaka im się krzywda dzieje....

M. Wystouchowa.



✧ Z WOJACZKI.

J już trzeci rok przemija długi,
Nie widziałem, jak tam orzą ptugi
Na tej roli, na moim zagonie...

Wczesnym rankiem, ledwie rozedniało,
Ociec chusłą przepasali białą —
Górami jasne, młode stońce ptonie,

J nad polem jeszcze tuman leży,
J pociąga rolę wietrzyk świeży,
A po brzdach szkli się chłodna rosa.

Rozejrzeli się ociec dokota:
Drobne ptactwo po wiklinach woła,
Cicho szepcze brzoza długowłosa,

Już skowronek zadzwonił nad miedzą —
Wiedzą ptaki i te pola wiedzą,
Że się zbożna zaczyna robota.

Ptrząsnęli ociec chusłą białą,
Aż się z dłoni złoto posypało —
Na tę rolę naszą siejba złota...

O przedwieśniu ptug za ptugiem orze,
Polem wyjdą siewcy — w imię Boże!
Niech zaszumi żyto, niech wyrosnie...

J już trzeci rok przemija długi,
Jak mię ciągnie serce na te smugi,
Jak ta rola woła mię żałośnie,

Jak te łaki wotają zielone,
By przytępić kosa wyostrzone
Na potrawach, na majowym sianie;

J w komorze kędyś sierp rdzewieje —
Oj, ty rolo! straciłem nadzieję,
Że co stało się — to i odstanie...

Oj, ty rolo! szare, nagie skąty,
Cudzy ludzie — losy złe pognały
Z tym bagnetem, na żółtą — po co?

Ani zasiał, ani zaorać roli,
A tu z piersi serce rwie się, boli —
W tym mundurze, pod tą straszną mocą..

Marja Markowska.



WYBUCH WULKANU.



Czasem takie straszne nieszczęścia na ludzi przychodzą, że pióro je ludzkie nie opisze, ani mowa nie wysłowi. Człowiek maleje do reszty wobec potęgi przyrody, co go wprawdzie żywi i karmi, ale czasem także staje się »szumem pożaru, co miasta zapala, trzęsieniem ziemi, co grody wywraca, zarazą, która dzieci wytraca i bierze syny z łona rodzicielki...«

Jest niedaleko Ameryki, na morzu szerokim, grupa wysp, wokoło wodą oblanych. W książkach i szkołach »Małemi Antylami« te wyspy się zowią, a kogo tam czasem wiatry okrętem zawiąły, kto je widział na własne oczy, wospami je szczęścia nazywał i radości — rajem na ziemi.

A wśród nich, największa wyspa, Martynika, pod panowaniem Francuzów będąca, ślicznym ogrodem była aż do dni ostatnich. Wiosna tam kwitła od grudnia do marca, lato gorące od kwietnia do czerwca, a potem niby to zima, ale bez mrozu i śniegu, gdzie się wszystko zieleni i rośnie, a takie ciepło, żeby go u nas na wiosnę nawet nie znalazł. Niebo jasne i promienne, — przed samym wschodem wytryska na krótką chwilę zorza purpurowa, a tuż za nią wypływa i słońce, śląc wszędzie złoto swoich promieni. Aczkolwiek wyspa od jednego krańca do drugiego z gór tylko samych się składa, roślinność okrywa ją całą zielonym kobiercem. Wśród tej zieloności zasiały dwa miasta: Saint-Pierre i Fort de France, nad nimi góra sterczy wysoka, wulkan, czyli góra ognista, co ogień i popiół ze siebie wyrzuca, ogień ze środka ziemi. — Trzeba bowiem wiedzieć, że ziemia, na której żyjemy, nie zawsze była taka zimna i urodzajna, jak dzisiaj. Dawno — dawno, przed laty tysiącami, była ona kulą ognistą, jak teraz słońce naprzykład. Z czasem stygła ta kula, twarzą się skorupą okrywając, ale pod spodem, we wnętrzu, zawsze jeszcze się ogień gotuje, a gaz go i para pędzi do góry, tak, że wybucha czasem płomieniami i strugą roztopionych kamieni i skał, czyli tak zwaną lawą.

Wulkan jednak na wyspie Martynice dawno zdawał się być już wygasłym. Najstarsi ludzie nie pamiętają, aby z wierzchołka jego się kiedy kurzyło, a nawet

w otworze, na samej górze małe się jeziorko wytworzyło, do którego ludność miasta Saint-Pierre spaceru odbywała i wycieczki...

Nikt się nie spodziewał nieszczęścia — wszyscy mieszkańcy miasta, a było ich przeszło 30.000, weseli byli i szczęśliwi, tem bardziej weseli, że święto nadchodziło Wniebowstąpienia Pańskiego, a w dzień ten wielkie być miały uroczystości i zabawy dla ludu.

Wprawdzie już od poniedziałku w wulkanie coś wrzało i kipiało, nocami się ogień na nim pokazywał, we wtorek nawet lawa gorąca buchnęła, ale myśleli ludzie, że to może wybuch chwilowy i przejdzie spokojnie. We środę popołudniu wybuchnął wulkan z taką gwałtownością, że huk słyszano na wyspach sąsiednich, a najbliższa wysepka, Santa Lucia, zadrżała w swoich posadach, ale jeszcze i wtenczas nikt nie przeczuwał nieszczęścia.

Przyszedł wreszcie ranek 8. maja — ranek świąteczny. Zaczął się ruch w mieście i życie, jak zwykle. Ludzie powstawali, zabierając się do zwykłych swoich zajęć. Nagle około godziny siódmej rano, stała się rzecz straszna. Wulkan począł wybuchać z gwałtownością, której nikt nawet opisać nie jest w stanie i wyrzucił z siebie, wśród piekielnego huku i łoskotu, tyle popiołu, kamieni i gorącej lawy, że w jednej chwili całe miasto, aż do ostatniej szczeliny, zasypane było parą, gazami i płomieniami, a gorący popiół, zamieniając się, z powodu gwałtownej ulewy, we wrzące błoto, płynął na nieszczęsną sadybę ludzką z nieopisaną chyżością. W jednej chwili całe miasto poczęło płonąć, a przystań morska przemieniła się w kocioł z wrzącą wodą, po której palące się okręty daremnie szukały drogi na pełne morze. Na odległość kilku mil nikt się nie mógł zbliżyć do wyspy, bo by go było powietrze rozpalone udusiło, nikt nie mógł się ratować ucieczką, padały tłumy całe martwe, a stosy trupów widać było z daleka. Trzęsienie ziemi walić poczęło domy, gruzami przyciskać nieszczęsnych, co ratunku szukali bezradni. Jednym słowem całe piekło rozszalało nad szczęśliwym do niedawna i kwitnącem miastem.

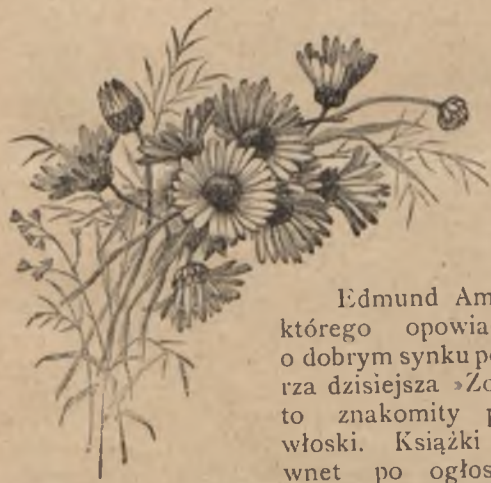
Piećdziesiąt tysięcy ludzi znalazło śmierć w czasie tego nieszczęścia, na dwadzieścia mil wokoło wulkan spusto-

szły i zniszczył nawet najmniejszy ślad życia, »raj ziemski«, piękna wyspa zamieniła się w krainę śmierci. Znalaziono całe góry trupów, poszarpanych, bezładnych, na których widok sami nawet marynarze doznawali napadów szaleństwa. I nic dziwnego, bo i te skromne opisy, które przysły do Europy, grozą napełniają duszę człowieka. — W jednym, naprzykład, miejscu znaleziono rodzinę, z dziewięciu osób złożoną, w ostatnim uścisku. Dzieci, tuląc się do rodziców, wraz z nimi śmierć znalazły.

Dzisiaj tam tylko śmierć i zniszczenie — panuje odurzające gorąco i upał nieznośny. Źródła wyschły, jeziora parują, — nad całą gromadą wysp dalszych i bliższych unoszą się ciemne tumany popiołów, a świat cały ze zgrozą i bólem patrzy w tamtą stronę, z zapartym oddechem, bo i na innych wyspach wulkany się ruszać poczynają, tak, że cały ten archipelag, czyli gromada wysp, zagrożona jest w swoim istnieniu i w morza głębiny zapaść się może bezpowrotnie.

Fr. Jaworski.

„Edmund Amiczis.“*)



Edmund Amiczis, którego opowiadanie o dobrym synku powtarza dzisiaj »Zorza«, to znakomity pisarz włoski. Książki jego, wnet po ogłoszeniu

drukiem, bywają tłumaczone skwapliwie na inne języki europejskie, to też znają go, jako pisarza i szanują ludzie nie tylko we własnym kraju, lecz i na całym świecie.

Edmund Amiczis ma obecnie pięćdziesiąt kilka lat, a w długim, zacnem i pracowitem swoim życiu, uczynił dużo dobrego. Za młodu służył ojczyźnie z orężem w ręku, jako wojak. Potem był redaktorem gazety. Podróżował też niemało po obcych krajach: Anglii, Holandji, Francji, Hiszpanji, Turcji, a nawet Afryce, i te podróże swoje opisał następnie w przepięknych książkach.

Od lat trzydziestu paru mieszka stale we włoskiem mieście Turynie, gdzie poświęca się pracy literackiej i ogłasza opowiadania i powieści, pisane z talentem i zącną ożywioną myślą.

Najwyższa jednak wdzięczność należy się Amiczisowi za to, co pisze dla młodzieży. Niepodobna przypuścić, aby dziecko, co czyta przedwznie jego książki, nie pragnęło stać się lepszem, nie miłowało cnoty, nie płonęło świętym ogniem miłości ojczyzny. Taki już ma talent ów pisarz, że słowa jego wprost z serca płyną i do serc czytelników trafiają. Umie on zająć, porwać i wzruszyć zarówno dzieci, jak i dorosłych.

Ot, naprzykład i to jego opowiadanie o dobrym synku podoba się niewątpliwie najbardziej młodym czytelnikom, których »Zorza« ma, na szczęście, dużo, bardzo dużo. Ale nie znajdzie się z pewnością i wśród starszych taki, coby nie przeczytał jej z żywym zajęciem, a nawet ze łzą w oku.

Jako człowiek o wielkiej, szlachetnej duszy, Amiczis, otacza żywym współczuciem ludzi biednych, ludzi ciężkiej pracy, tych, którym twarda, smutna dola padła w udziale. Tę miłość jego, to święte współczucie znać we wszystkim, co pisze. A w jednej z najpiękniejszych jego książek mądry i zący ojciec tak przemawia do syna, chcąc wszczepić w jego serce przywiązanie do ubogich towarzyszy ze szkoły: »Człowiek — powiada ów ojciec — który w jednym się tylko kole

*) Nazwisko to pisze się po włosku Amicis, bo c w tym języku wymawia się, jak u nas cz.

obraca, jest jak uczący się, co jedną tylko księgę czyta. Powiedz więc sobie od dzisiaj, że zachowasz tych przyjaciół nawet po ukończeniu wspólnej szkoły, nawet gdy będziecie z sobą rozdzieleni; i od dzisiaj zacznij dawać im pierwszeństwo przed innymi właśnie dlatego, iż są oni synami robotników. Widzisz: ludzie z klas wyższych to oficerowie, zaś robotnicy to szeregowcy, to żołnierze pracy; ale zarówno w społeczeństwie, jak i w wojsku, nietylko żołnierz nie jest mniej szlachetnym, niż oficer, gdyż uszlachetnia nie zysk, ale praca, — nie urząd, lecz męstwo; ale, jeżeli istnieje wyższość zasługi, to jest ona po stronie żołnierza, po stronie robotnika, który ciągnie ze swej pracy mniejsze zyski. — Kochaj więc, szanuj przed innymi tych z twoich przyjaciół, którzy są synami żołnierzy pracy. Umiej uszanować w nich trudy i ofiary ich rodziców, nie przywiązuaj wagi do różnicy majątków i stanów, gdyż tylko niczemni i głupi do tych różnic stosują swoje uczucia i stopień grzeczności w postępowaniu z ludźmi. Pamiętaj, iż cała niemal owa krew szlachetna, która została wylana w sprawie odbudowania, zjednoczenia naszej ojczyzny, płynęła przeważnie w żyłach pracowników z naszych pól i fabryk. Kochaj tych wszystkich, którzy w swych piersiach małych robotników mają serca prawe i szlachetne, i przyrzeknij to sobie uroczyście, iż żadna zmiana losu, żadne dostatki i powodzenia w świecie nie wydrą ci nigdy z duszy tej świętej przyjaźni dla tych twoich towarzyszy dzisiejszych. Przyrzeknij mi, że gdybyś po latach czterdziestu, w podróży, na jakiej stacji kolei żelaznej, napotkał i poznał w ubraniu masywnisty twego starego przyjaciela ze szkolnej ławki, z uczeniłą twarzą... ach, nawet zbytecznym jest, abyś mi to przyrzekał — jestem pewny, iż skoczysz na parowóz i ręce mu na szyję zarzucisz, choćbyś był wówczas senatorem państwa!...

Jakież to piękne, wymowne słowa i jakie słońce szczęścia zajaśnieje nad światem, gdy wszyscy ludzie tak mądrze myśleć, tak wzniosłe czuć będą!...

Gdy jednak Amicis mówi o ojczyźnie, słowa jego nabierają wspanialszego jeszcze blasku i silniej trącają o serce. Jako przykład, jeden z tysięcy, weźmijmy ustęp z jego książki, w którym ten sam, wyżej wymieniony ojciec tłumaczy synowi, dla czego powinien kochać ziemię ojczystą.

—> Gdyby cię spytano — mówi ów ojciec — dla czego kochasz Włochy, czy nie przyszło

by ci natychmiast na myśl ze sto odpowiedzi? — Kocham Italię, bo moja matka jest włoską; bo krew, co w moich żyłach płynie, jest włoską; bo włoską jest ziemia, gdzie spoczywają ci zmarli, których oplakuje moja matka i których czci mój ojciec; bo miasto, w którym się urodziłem, bo język, którym mówię, bo książki, które mnie kształcą, bo mój brat, moja siostra, moi towarzysze i ów wielki naród, wśród którego żyję, i piękna przyroda, która mnie otacza, i wszystko to, co widzę, co kocham, czego się uczę, co wielbię — jest włoskie. O, ty nie możesz jeszcze w całej pełni doznawać tego uczucia! Doznasz go wówczas, gdy stawszy się człowiekiem dorosłym, kiedyś, wracając z długiej podróży, po długim oddaleniu, i wszedłszy pewnego poranka na pokład okrętu, ujrzysz na widnokręgu wielkie, lazurowe góry twego kraju, — poznasz to uczucie po gwałtownej fali rozczulenia, które oczy ci łzami napełni i z serca wyrwie ci okrzyk. Doznasz go w jakimś mieście dalekiem, kiedy wśród obcego tłumu nagły popęd twej duszy popchnie cię ku nieznanemu robotnikowi, od którego, gdy cię mijał, doleciało cię jakie słowo w mowie rodzinnej. Doznasz go w bolesnem i najwyższem oburzeniu, które krwią twarz ci obleje, kiedy usłyszysz jaką obelgę na twój kraj z ust cudzoziemca. Poznasz je bardziej silnem i dumnem w dniu, kiedy groźba obcego narodu podniesie burzę ognia nad twoim krajem, a ty ujrzysz połyski broni, tłumy młodych, śpieszące zewsząd, ojców, całujących synów i mówiących: »Odwagi!« — matki, żegnające młodzieńców wołaniem: »Zwycięzcie e!« Poznasz je jako radość niebiańską, jeżeli będziesz miał szczęście patrzeć na powrót do twego miasta pułków, przeredzonych, zmęczonych, obdartych, strasznych, z blaskiem zwycięstwa w oczach i chorągwiemi, poszarpanemi przez kule, za którymi postępować będzie niezmierny orszak walecznych, podnoszących dumnie głowy, obwiązane zakrwawionemi chustkami, ukazujących chwalebne kalectwa i blizny, wśród radośnego tłumu, który ich pokryje kwieciami, błogosławieństwami i pocałunkami. Wówczas miłość dla ojczyzny zrozumiesz — wówczas uczujesz, co to jest ojczyzna. Kraj rodzinny jest to rzecz tak wielka i święta, iż gdybym ja kiedy zobaczył cię, wracającego cało i zdrowo z jakiej bitwy, stoczonej za nią, ciebie, synu, zdrowym, coś ciałem mojem i duszą, a dowiedział się, żeś życie zachował dlatego, iż się przed

śmiercią ukrywał, — ja, twój ojciec, który cię witam okrzykiem radośnym, gdy wracasz ze szkoły powitałbym cię wtedy łkaniem rozpaczliwym, i nigdy już kochałbym cię nie mógł i umarłbym z trucizną w sercu...

Tak pisze szlachetny Włoch. Usłuchajmy i my jego głosu i miłujmy Ojczyznę!

kiem gorącem a wzniosłem uczuciem, jakie pragnie rozbudzić w sercach swych ziomek. Polska, rozdarta, gnębiona, oparami też i krwi przestłonięta, bardziej jeszcze potrzebuje miłości swych dzieci, niż zjednoczona, wolna, słoneczna Italja...

M. W.



OSTATNIA NOC.



Isza. — Noc. Piękna noc. Świąteczka lamp ulicznych migocą, jak błędne ogniki, dodając temu szaremu zmierzchowi spokojnego uroku. Piękna noc — cicha noc. Na ulicach nic nie mąci ciszy nocnej.

Spoglądam przez okno w pustkę uliczną. Lubię ten spokój nocy. Marzę. Duch mój leci, hej, tam, do rodzinnej wioski, błądzi po niwach, ścierniskach, szarych ugorach, na których chwieje się biała nie pajączka, uwita w przepyszną tkaninę i błyszczą brylantowe krople rosy; błądzi po gajach i lasach, przysłuchuje się szmerom cichych strumyków, co uderzając o szeroko-listne szuwary, wydają ciche, smutne tony; — zagląda pod niskie poddasza wiejskie, gdzie, ujęci snem, używają spoczynku mieszkańcy wioski.

Lubię spokój, ciszę, nie lubię natomiast zgiełku dziennego w mieście, — to takie ożywione, a bez życia zdaje się być. Ludzie kręcą się, jak w szopce, pojazdy migają, niby w cyrku. Czemu ci ludzie tak spieszą, jakby owładnięci jakąś gorączką bieganiami?

Tu biegnie jakiś pan w cylindrze, a spieszy, jakby od szybkiego biegu zależało jego życie. Tam przesuwają się jakieś piękności miejskie. Kształtne i drobne jej nóżki stają z takim pośpiechem, jakby pragnęły schwytać szczęśliwość, a przecież szczęśliwość jest tylko w spokoju! Ha, może ona już wypłynęła do dna czarę szczęścia. a teraz ucieka przed rozpaczą?...

Tu włóścianin spieszy, — kroki jego, ciężkie, jak jego dola, głośnie echem rozlegają się po ulicy. Czemu i ten tak pomyka? Czy i jego ogarnęła gorączka pośpiechu? Przecież on tak lubi ciszę i spokój wiejski.

Piękna noc — cicha noc, ale krótka, jak marzenie. A cisza i spokój w życiu człowieka czy trwałe? — Nie, to tylko powiew wiosny, po której następuje mroźna zima. Tak, cisza i spokój, to rzecz znikoma, to ułuda...

I dla mnie cisza i spokój minęły i moje marzenia rozwiały się, jak mgły pod wiatru podmuchem...

Za kilka dni los rzuci mnie w piekło pary, ognia, huk, gdzie łoskot maszyn, świst świrdrów, wierzących łono matki ziemi, zgrzyt żelaza, brzęk łańcuchów, rozlegają się dniem i nocą. Tam, w onym piekle, niema spokoju i ciszy, tam wre walka nieubłagana o byt, o chleb, — tam trzeba się wyrzec swoich idei, a to więcej znaczy, niż wyrzec się życia...

Pójdę; spokój i cisza już nie dla mnie. Spokój i cisza przeminęły, jak powiew wiosny. Pójdę, ale idei swoich się nie wyrzeknę, bo nie wyrzeka się tego, co się ukochało nad siły, nad życie. Raczej paść na stanowisku, aniżeli się poddać. Pójdę!

Noc taka piękna! Cisza — spokój...

Wojciech Zawada
ze wsi Dąbrowicy.



Najstarszy dom w Jabłonkowie.

Domy drewniane, z podsieniami na słupach, znajdowały się dawniej wszędzie w Polsce, bo podsienia owe ochraniały od deszczu i śniegu towary, które, przywożone niegdyś przez kupców furami, pozostawały

rego zbudowano ów dom, rosło niegdyś — przed wielu, wielu laty — na tem samym miejscu.

Rynek jabłonkowski zdobią dwa takie stare domy z podsieniami. Ale ten, który



przez pewien czas po miastach, co znajdowały się na trakcie handlowym i posiadały prawo składowe. Ponieważ jednak ręka czasu i płomień pożarów niszczyły starodawne owe budowle, jedne po drugich, więc należą już one dziś do prawdziwych rzadkości i dlatego zwracają na siebie tem bacniejszą uwagę miłośników sztuki budowniczej u nas.

Dom, który widzimy na naszym obrazku, wznosi się w rynku miasta Jabłonkowa na Śląsku, a wśród mieszkańców tej miejsciny istnieje mniemanie, że drzewo, z któ-

»Zorza« podaje, lepiej jest znany góralom z Izdebnej. Bo wiosną, na przednówku, a także po zbiórkach siana, gdy we własnej wiosce roboty niema, młode parobczaki spieszą do Jabłonkowa i w podsieniach tego właśnie domu wyczekują na jakiś zarobek. Nie dłuży im się tak strasznie ono czekanie, bo Jabłonków to schludne i miłe miasteczko, a położenie ma przepiękne. Z dwóch stron opasują je płynnem srebrem swych wód rzeki: młoda Olsza i dopływ jej, wartka Łomna, a wokoło otaczają miasto zie-

lonym wieńcem góry, takie śliczne, że niewiedzieć, na którą wpierv patrzeć, o której z większem upodobaniem myśleć. Oto na uboczu nieco stanęła szeroko znana we świecie Girowa. Szuka samotności — odsunęła się od towarzyszek... Czemu? — Hej! Pyszni się zapewne krasą i bogactwem szaty. Pyszni się — i to najbardziej — że, jako najwyższa, widzi ogromy, czarownie piękny szmat ziemi i całą dolinę Olzy, aż do źródła tej rzeki. Kozubowa, mniej dumna od siostry, nie gardzi towarzystwem. Owszem, przygarnęła życzliwie młodsze rodzeństwo: Sałasz i Rowinę.

Rozjaśniona słońcem, strojna w kwiaty, śliczna ta góra wygląda słodko i niewinnie, niby panna młoda. Starzy jednak ludzie, spoglądając na nią, szepcą coś tajemniczo. Powiadają mianowicie, że gdy trąby archanielskie ogłoszą koniec świata, wówczas Kozubowa pomknie, wiodąc za sobą Sałasz i Rowinę, aż ku samemu muru Jabłonkowa i zasypie miasto i jego mieszkańców głazami, które chowa w swem łonie pod zieloną szatą. Nie należy przecież bać się zbyt cznie tej przepowiedni. Ostatnia godzina bowiem wybije dla Jabłonkowa i reszty świata wówczas dopiero, gdy przemysłni, ruchliwi Jabłonkowie, którzy teraz obchodzą ze znakomitem swem płótnem Śląsk, Węgry i inne kraje, wrócą wszyscy, co do jednego, do domu, nie znajdując już nabywców na wyborny swój towar. A dzień taki nastąpi nie rychło — bardzo nierychło.

M. W.



Listy do „Zorzy“.

Mrażnica. W maju.

Szanowna Redakcjo!

W tantym liście rozpisałem się nieco więcej o „Zorzy“ i życzę, żeby nadał wychodziła, jak wychodzi i żeby podawała jak najwięcej opowiadań, bo to bardzo zajmuje nie jednego!

A dziś posyłam do drogiej gazetki piosnkę o Schodnicy, miejscowości głośnej i słynnej z bogatych źródeł nafty i licznych kopalni. Zdaje mi się, że ta piosenka jest stosowną do „Zorzy“, i myślę żeby nie jednego zainteresowała bardzo.

Piosenka o Schodnicy.

(Na nutę: Żegnal góralską dziewczynę).

Gdzie Karpaty i Beskidy, pokryte lasami, tam stoi słynna Schodnica swemi kopalniami. Wszędzie hajce, wszędzie kuźnie i szyby wysokie, gdzie tylko okiem popatrzy, fabryki szerokie.

Tu pan Wolski-Odrzywolski, a tam Belgiannie. Tu Gartenberg, Biesiadecki, Anglobank wspaniały. Kierownicy, werkfirery chodzą, doglądają, Robotnicy jak dzień, tak noc dość roboty mają.

Syn zostawia ojca, matkę, a mąż żonę, dzieci, i tak wszystko z Galicji do Schodnicy leci. Bo w Schodnicy jest wesoło, zawsze coś nowego, a w niedzielę: chodź, kolego, do Józka Wolnego! Ażeby tam nie próżnować, każdy piwo pije: „Wiwat, bracia fabrykanciu, niech Schodnica żyje!“

Mówcie sami, gdzie jest lepiej, jeśli nie w Schodnicy? Czy rzemieślnik, czy „bormeister“ każdy srebro liczy. Hajcerom i pomoenicom, niebrak im banknotów, od wypłaty do wypłaty nie tracą ochoty.

Kawalerów jest też wiele, każdy chłopak zdrowy, — czy do pracy, czy do panny zawsze jest gotowy. Oj, panienek nam nie brak z czarnymi oczkami, pomaluśko a drobniuszko stąpają nóżkami.

I kobiety pięknej stopy, aż się serce cieszy: bierze koszyk do ręki i do Kółka śpieszy. Na co jej się tutaj trapić, o mój miły panie, kiedy ona na książeczkę wszystkiego dostanie.

Mąż na szychcie się wyrobi, idzie, ledwie kiwa, przyjdzie do dom, żona mówi: „idź mi, urąb drzewa!“

I mąż idzie, drzewo rąbie, spełnia jej rozkazy. Żona mówi: „Przynieś wody choć ze cztery razy!“

I mąż idzie, wodę nosi, już go to nie cieszy. A żoneczka grzebyk w ręce i do lustra śpieszy.

Mąż na szychcie się narobi, usiada stroskany, a żoneczka koło niego: „Ach mój ty kochany, kup mi buciki, kapenusz pluszowy!“ A mąż: „Żono, żono, o tem niema mowy!“

Sześcieliwe żony z mężami: Oni was szanują, wstają do dnia, opół nocy i na was pracują.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Może się któremu nie spodoba ta piosnka, może pomyśli sobie, że jest inaczej podana niż ją niektórzy śpiewają, a może co omyłone lub dodane więcej? Ale mniejsza o to: mam nadzieję, że ją będziecie czytali z upodobaniem. A może niektórzy będziecie chcieli i zaśpiewać ją po robocie.

Pozdrawiam wszystkich Czytelników i Czytelniczki „Zorzy“,

Czytelnik „Zorzy“.

Wojciech Pudło.



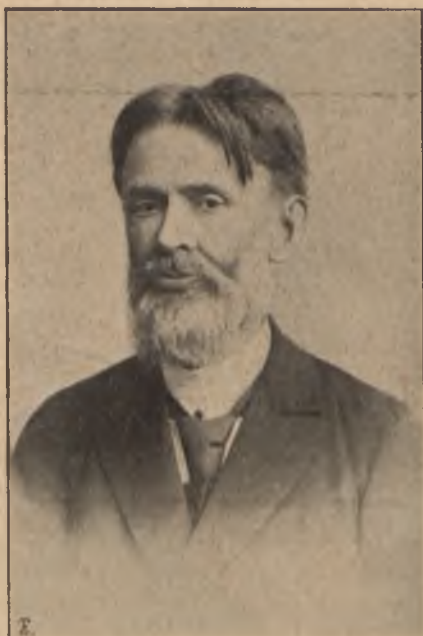
ROZMAITOŚCI.

Hołd zasłudze. W pierwszych dniach maja obchodzono w Krakowie z uroczystością wielką czterdziesto-letni jubileusz pracy pisarskiej Adama Bełcikowskiego. — Pisarz ów w młodości swojej układał poezje. Potem napisał trzy aktową komedię, czyli sztukę wesołą do grania w teatrze. Najświetniejszym wszakże blaskiem zabłysnął talent Bełcikowskiego w sztukach dla teatru, których treść jest smutna, czyli w dramatach — Dramatów napisał wiele, a do znacznej ich części brał wątek z dawnych dziejów Polski. Do takich należą dramaty pod tytułem: „U kolebki narodu“, „Korona Lechów“, — „Bolesław Śmiały“, „Mieczysław II.“, „Sobieski pod Wiedniem“ i inne.

Autor tych pięknych utworów powiedział niegdyś o sobie: „Prawdo, dotrzymam Tobie wiary święcie!“ — i spełnił, co powiedział: jako człowiek i jako pisarz służy zawsze wielkiej, czystej, wzniosłej prawdzie. To też dowody uznania, które mu składało społeczeństwo polskie w dniu jubileuszu, płynęły z serec i były hołdem, należnym zasłudze.

A teraz jeszcze słówko o kolejach życia jubilata.

Adam Bełcikowski, urodził się w grudniu 1839 r. w Krakowie. Po ukończeniu gimnazjum S-ej Anny i uniwersytetu w tymże Krakowie, otrzymał miejsce profesora w Szkole Głównej w Warszawie, — a po jej upadku i przeobrażeniu w zakład naukowy rosyjski, wrócił do rodzinnego miasta, a potem sprawował jakiś czas obowiązki nauczycielskie w gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie, — poczem



uzyskał posadę w bibl. Jagiellońskiej, na której do dziś dnia pozostaje. Dramaty jego i rozprawy literackie zdobywały na konkursach pierwsze nagrody, lub zaszczytne odznaczenia.

Bratnia pomoc z Czech. Księgarz praski, p. Beaufort, wydał w grudniu książkę o Henryku Sienkiewiczu i dochód z rozprzedaży przeznaczył na dzieci wrzesińskie. Czysty dochód po dzień 15. maja przyniósł sumę 506.70 kor., bo Czesi kupowali tę książeczkę na wyścigi. P. Beaufort uzupełnił tę kwotę do wysokości 600 kor. i przesłał ją do Wrześni.

Strasznie ważna sprawa. Uczony i zaenzy profesor uniwersytetu lwowskiego, dr. Bądziński ogłosił rozprawę o wódkach, sprzedawanych po szynkach i karczmach w Galicji. Lekarze powiatowi brali w rozmaitych karczmach i szynkach próbki sprzedawanych ludowi wódek i tym sposobem dr. Bądziński otrzymał 200 próbek, które poddał badaniu naukowemu, czyli rozbirowi na składowe części za pomocą nauki chemji, lub — jak powiadają zazwyczaj krótko: analizie. Analiza ta okazała przedewszystkiem, że wbrew panującemu powszechnie mniemaniu, iż wódka, sprzedawana w Galicji, nie zawiera nigdy więcej nad 40 do 45 części na sto alkoholu, czyli czystego spirytusu, zawartość alkoholu w owych próbkach wahała się między 28 a 89 części na sto. Prawie zaś połowa tych próbek miała więcej, niż 50 części na sto alkoholu. Owoż wódka taka, wprowadzona

do przewodu pokarmowego, działa na jego błonę śluzową, jako środek żrący i przeżerający. Niszczy tę błonę śluzową i po spłynięciu po niej zostawia takie spustoszenia, jakiby zrobił pułk kawalerji, przyjechawszy po łanie zboża.

Dr. prof. Bądziński badał także zawartość w owych próbkach niedogonu, to jest trującego ciała chemicznego, które obok alkoholu stanowi najstraszniejszy trujący czynnik, znajdujący się w wodce. Otóż próbki wódek sprzedawanych w Galicji, zawierają 1 i pół części na sto niedogonu i więcej.

W onym niedogonie znajduje się alkohol amelowy, środek tak silnie trujący, że dość wylać kilka jego kropel na podłogę dużej sali, zawierającej mnóstwo osób, aby wszyscy ci ludzie doznali ogromnego bólu głowy. To też obecności niedogonu w wodce przypisują lekarze owe silne bole głowy, na które nieraz skarżą się ludzie po przepiciu.

Prof. Bądziński badał także nadesłane mu próbki rumu, araku, rozmaitych likierów, koniaku, wiśniaku, śliwowiecy etc., sprzedawanych po szynkach w Galicji i we wszystkich tych preparatach znajdował olejek gorzki migdałowy, rzecz, jak wiadomo, będąca silną trucizną.

I cóż, drodzy Czytelnicy, teraz, kiedy nauka coraz bardziej wykazuje, jak zabójczo działa wódka na zdrowie, będziecie dalej używali tej trucizny! — O za nie w świecie! Wszyscy Czytelnicy „Zorzy“ wypowiedzą wojnę wodce, będą tępić nałóg pijaństwa i przysłużą się tem znakomicie braciom bliźnim.

Wystawa drobiu i królików. Urządzono w czasie Zielonych świąt we Lwowie wystawę drobiu, gołębi i królików, która wykazała, jakich to pięknych rzeczy można się dochować na podwórku gospodarskiem, bez wielkiego nawet trudu i zachodu. Znalazło się na tej wystawie może jakie kilkaset kur różnego gatunku i rodzaju, počawszy od naszych swojskich białonózek, aż do zamorskich gatunków, odznaczających się tak wielkością, jak i množstwem jaj, które noszą. Zwłaszcza gatunki Brahma-putra, kochinchinki, kuraki holenderskie dziwnego kształtu i upierzenia, zwracały na siebie powszechną uwagę. — Przeważały naturalnie na wystawie kury folwarczne, bo tam zawsze prędzej się ktoś hodowłą ich zajmie, ale i kur włościańskich nie brakło także, a nawet kilku wystawców włościan z okolic pod Lwowem otrzymało nagrody honorowe i medale za staranną hodowlę drobiu. Widać więc z tego, że nie święci garnki lepią, a jak się jaka gospodyni weźmie trochę do hodowania drobiu, to i mążowi w gospodarstwie dopomoże, a i sama zawsze jaki grosz na swoje potrzeby znajdzie.

W drugim oddziale wystawy pomieszczono gołębie, między którymi znalazły się okazy wspaniałe, a niektóre tak wielkie, jak średnia kokoszka. Zwłaszcza podobały się rysie polskie, pawiały i kapucyny. Toż samo powiedzieć można także i o królikach, których znaczną liczbę zwieziono na wystawę, jak niemniej kaczek i gęsi.

Gwar tam był na tej wystawie i krzyk, jak na jakim wielkim folwarku. Koguty, kwoki z kureczkami, gęsi, kaczki i gołębie, każdy na swój sposób gwarzyły, a gospośmian aż serce rosnęło na widok tych mieszkańców podwórka, na jednym zgromadzonych miejscu.

Z włościan otrzymali nagrody i listy pochwalne: Woje. Preis, Kozior, Jamka, Czuchnowski i Mykita, wszyscy ze wsi Prus pod Lwowem.

Kobieca straż ogniowa. Straż ogniowa, złożona z kobiet, istnieje w wielu miastach Anglii. Fabrykanci pomp i sikawek pozakładali szkoły, w których niewiasty uczą się bezpłatnie wszystkich czynności i obrotów strażackich. Z takich szkół wychodzą bardzo zręczne i odważne strażaczki, przeważnie jednak zadaniem ich jest pouczać tych, wśród których żyją, jak należy postępować przy pożarze. W mieście Werfield kobiety stale pełnią obowiązki straży ogniowej; w Chettenham oddział kobiecej straży ogniowej składa się z 30 ochotniczek i jednej kobiety dowódcy.

Historja kądzieli. Kołowrotek wynalazł w r. 1530 Jurgens von Wattenmuhl w Brunswiku. Przedtem kobiety przedły na wrzecionach, które istniały od kilku tysięcy lat. Małżonka króla rzymskiego, Tarkwiniusza Starego, Kaja, słynęła jako znakomita prządka. O enotliwej matronie mówiono: żyła czysta, wełnę przedła. W Biblii jest także pochwała niewiasty mężnej, która bawiła się wrzecionem, wełnę i len przedła. W średnich wiekach widzimy kądziel w rękach najdostojniejszych pań, a nawet monarchiń: wyobrażeniem jej zdobiono groby niewiast; dziś jeszcze w Moguncji, w Niemczech, można oglądać ją na pomniku córki cesarza Ottona Wielkiego. Królowa Brunhilda nawet na koniu przedła. Berta, matka cesarza Karola Wielkiego, rzadko wypuszczała z rąk wrzeciono. Ozem miecz dla rycerza, tem była kądziel dla niewiasty; stąd wyrażenie: „pochodzić po mieczu i po kądzieli“.

Domy przenośno. W Ameryce istnieje od dawna towarzystwo, mające na celu przenoszenie całych domów z jednego miejsca na drugie. Towarzystwo to podejmuje się również przenoszenia kominów fabrycznych, co jest operacją bardzo trudną i niebezpieczną. Dokonano

tej sztuki w Suffolku z kominem, mającym 26 m. wysokości i 100 ton wagi.

W ten sposób można ratować domy, grożące zawaleniem. W październiku r. z. wykonano w Chicago dom 16-piętrowy, który natychmiast znalazł lokatorów.

Po kilku tygodniach frontowa ściana niepokojąco się pochyliła: kazano więc opróżnić gmach i przystąpić do rozbiórki. Pomysłowy budowniczy, chcąc uniknąć tej przykrej dla właściciela operacji, podtrzymał rusztowaniem górne piętra i dach, poczem dopiero usunął pochyłony mur i odbudował go na nowo od fundamentów. Przedsięwzięcie udało się znakomicie: kosztowało to wprawdzie 30.000 dolarów, ale za to dom, wartości 100.000 dolarów, ocalał.

Niedawno w Paryżu pewien inżynier podniósł gmach szkolny i przy pomocy setek wałów, oraz drewnianych szyn, przetoczył go o 50 metrów dalej od miejsca, zajmowanego pierwotnie. Pracę tę wykonało 30 ludzi.



Odpowiedzi od Redakcji.

P. Wojciech Zawada w Dąbrowicy. Za artykuły i wiersze „Bóg zapłać.“ Wszystko się przyda — i jak jeszcze! Za list dziękuję osobno, bo łatwo poznać szczerze słowa, jak łatwo odróżnić perłę kosztowną od lichego szkiełka.

To prawda, że brzemię nieszczęścia przyniata czasem okrutnie człowieka, ale nie należy dać się mu nie tylko złamać, lecz i ugiąć. Bo nie na to istniejemy na świecie, aby żyć życiem kwiatów: łatwym, błyszczącym, bezmyślnym, lecz po to, aby doskonalić siebie, czynić

dobrze, ile sił starczy, — cierpieć wytrwale i mężnie umierać.

P. Andrzej Hławczka w Cieszynie. „Zorza“ zawsze się cieszy, gdy wybiera się do Cieszyna a cóż dopiero, gdy zdąży tam na uprzejme wezwanie w tak licznym poczcie. Niech pomyślność świeci jasnym słońcem nad dawną stolicą Piastową, a drzewa u stóp starej wieży niech szumią ludziom o dawnych, o innych czasach.

P. Michałina Głuchowska w Kołomyi. Gazetkę wysyłamy pod wskazanym adresem z tem większem pośpiechem, że to zamówienie szkoły ludowej, bo miło dorzucić choć drobne ziarnko do działalności Towarzystwa, które pracuje nad oświatą ludu.

P. Robert Miczko w Ustroniu. Za życzenia serdeczne jako za dowód życzliwości, wdzięczna jestem niezmiernie. Bo i naprawdę, niema chyba nic lepszego nad przyjaźń ludzką. Jest ona towarzyszką samotności, pocieszycielką w strapieniu, budzi chęć do poprawienia się z przywar, daje siły do wytrwania w dobrem.

Szymon Batowski w Filipowcach. „Zorza“ mogłaby wzbić się w dumę, że niemal każdy nowy prenumeratorem żąda natychmiast dawnych roczników. Nie da się jednak zepsuć tą uprzejmością czytelników. Owszem, pracować będzie i nadal w cichej pokorze, bo wie, jak wiele jej brakuje. Oby jeno ta praca lepiej się jej udawała, niż dotąd.

P. H. Szczepański w Kołomyi. Żadane numera wysłaliśmy.

P. M. Krzywdowa w Kołomyi. Gazetkę pod wskazanym adresem wysyłamy. Myślę, że w Kołomyi jest chyba jakiś nieznaną przyjaciel „Zorzy“, co powiada o niej ludziom i zachęca do czytania. Bo skądżeby inaczej tyle osób o niej wiedziało? Nieznanemu temu przyjacielowi dzięki.

P. Jan Jadamus w Wielopolu. Pierwszy raz w tę stronę zdąży gazetka i niesie ze sobą życzenie, aby czytelnicy jej mieli tam nie tylko wiele pola, lecz i wiele szczęścia.

P. Edward Keller w Drohobyczu. Do miasta rzadziej zagląda „Zorza“, jako, wiadomo, wieśniaczka. Miło jej wszakże, jeżeli i tam widzą ją dobrem okiem.



TREŚĆ: Dobry syn. — Z księgi męczeństwa ludu. — Z wojaczki. — Wybuch wulkanu. — Edmund Amicis. — Ostatnia noc. — Najstarszy dom w Jabłonkowie. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcji.